



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: „CUDZOZIEMKA”

Wydana w 1936 r. „Cudzoziemka” była - jak stwierdziła kiedyś jej autorka - „refleksem i transpozycją dziejów matki” Marii Kuncewiczowej, Róży Adeli z Dziubińskich Szczepańskiej. Owej niezwyklej kobiety - zapoznanej, rokującej wielkie nadzieje skrzypaczki, której kariera została zwichnięta przez splot okoliczności, ale także, częściowo, przez nią samą; nieprzeciętnej osobowości, duszącej się w atmosferze mieszczańskiej, codzienności rodzinnej; żony niekochanego mężczyzny, wciąż niemogącej zapomnieć swej pierwszej, wielkiej, młodzieńczej, odrzuconej przez innego - miłości.

Wiecznie zbuntowana, niezadowolona ze wszystkiego, wszystkich oskarżająca o swe życiowe niepowodzenia, oschła, tyranizująca męża i dzieci - jakby w odwecie za nieudane życie - Róża pozostaje ciągle „cudzoziemką”. Owa „cudzoziemskość” jawi się nie tylko w życiu osobistym bohaterki książki Marii Kuncewiczowej. Róża, jak wielu jej rodaków, którzy, wychowani gdzieś w głębinach Rosji, dokąd losy rzuciły ich rodziców czy nawet dziadków, w kulcie polskości, w nadziei, że Polska musi zmartwychwstać, znalazły się wreszcie w owym wymarzonym, młodym, odrodzonym państwie, czuje się w nim - o paradoksie! - obco. Prawdziwe życie było rozpięte gdzieś tam daleko, pomiędzy stołecznym, cesarskim Petersburgiem, a owianym stepowymi wiatrami Taganrogiem, skąd spoglądało się z rozdartym sercem na umęczoną, popowstaniową Warszawę... W tym aspekcie „Cudzoziemka” jest nie tylko doskonałą powieścią psychologiczną - obyczajową, ale także książką o suit genesis, polityczno - obyczajowym nachyleniu, czego wielu krytyków literackich wydaje się jakby nie zauważać.

„Cudzoziemka” stała się z miejsca czytelnym bestsellerem oraz sukcesem artystycznym młodej wówczas autorki. Maria Kuncewiczowa otrzymała za nią w 1937 roku Nagrodę Literacką Miasta Stołecznego Warszawy (z rąk prezydenta Starzyńskiego), w tym samym roku przyznano pisarce złoty Wawrzyn Polskiej Akademii Literatury.

Po dziś dzień „Cudzoziemka” cieszy się ogromną poczytnością, i to nie tylko wśród polskich czytelników. Przetłumaczono ją na kilkanaście języków (w Anglii wznawiano czterokrotnie, we Włoszech - trzykrotnie); pozostając powieścią bardzo polską, jest zarazem dziełem uniwersalnym...

Rzecz ciekawa, że literaturą Kuncewiczowej, jako tworzywem dla kina zaczęto się interesować późno. Pierwsza sięgnęła po nią telewizja; powstała wówczas adaptacja „Cudzoziemki” z doskonałą kreacją Róży w wykonaniu Haliny Mikołajskiej. (Sprawdził się również na scenie teatralnej monodram, napisany w oparciu o tę powieść)

W odległym Hollywood przedwojenny polski reżyser Józef Lejtes przymierzał się do sfilmowania „Tristana 1946”; w 1974 r. Maria Kuncewiczowa zaakceptowała gotowy już scenariusz tego filmu; śmierć Lejtesa stanęła na przeszkodzie realizacji „Tristana”.

W tym samym mniej więcej czasie zaczął się interesować przeniesieniem na ekran „Cudzoziemki” Andrzej Wajda. Bywał w tej sprawie u Kuncewiczowej w Kazimierzu, słyszało się już o rozpoczęcia pracy scenopisarskiej. Później ta sprawa jakby ucichła. W końcu dowiedzieliśmy się, że do ekranizacji „Cudzoziemki” przystąpił Ryszard Ber (autor szeregu filmów kinowych oraz takich m. in. seriali telewizyjnych jak „Lalka”, i „Popielec”), według scenariusza napisanego przez samą Marię Kuncewiczową. I oto na tegorocznym XI Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdańsku przyznano „Cudzoziemce” Ryszarda Bera Nagrodę Specjalną Jury.

Jak się jawi na ekranie ta filmowa „Cudzoziemka”?

Pierwsze nasuwające się określenie to: film zrobiony z wielką kulturą. Drugie określenie to: film bardzo refleksyjny, ściszony; opowieść o Róży, jej rozterkach i dramatach, oglądana innymi oczyma niż w „Cudzoziemce” książkowej - z półwiecznego dystansu. Trzecie, kolejne określenie to: film aktorski. Dzieło wspierające się na fenomenalnej, zupełnie zaskakującej w tej roli, kreacji Ewy Wiśniewskiej, odtwórczyni postaci Róży. Wiśniewska potrafiła doskonale oddać psychiką, osobowość, niekonwencjonalność, „cudzoziemskość” Róży. I - co trudniejsze - dojrzewać i starzeć się w ciągu półtorej godziny na naszych oczach.

A jednak... Jednak odczuwałem pewien niedosyt po obejrzeniu borowskiej „Cudzoziemki”. Tego filmu tak przecież udanego, lecz pozbawionego owej pasji, jaka rozsadza książkową „Cudzoziemkę” z połowy lat trzydziestych; owego żaru, jaki emanował z każdej strony książki trzydziestokilkuletniej wówczas autorki:

„Ja myślałam (mówi do syna podczas spaceru w Rzymie Róża z tamtej książki), że tutaj śmierć niestraszna. Ach, Władysław ty mój - straszna, wszędzie straszna dla człowieka, który urodził się i nie żył. Nie żył wcale! Rozumiesz ty - nie żył?”

Zerwała się z ławy - blada, gorejąca stała na tle łagodnego wieczoru, pomieszana z cyprysami, i pytała: - Władysław, jakże będę umierać, kiedy nie żyłam ja wcale?”

U Bera jest i Rzym, i zachód słońca, i słowa, ale... Podobnie w słynnej scenie kłótni małżonków, Róży i Adama, jeszcze w Taganrogu, gdy Róża, z zaciśniętymi ustami, z oczyma roziskrzonymi, nie odpowiadając ani słowem na krzyk Adama, gra coraz to głośniejsze, coraz bardziej burzliwie na skrzypcach swój ulubiony utwór; naciera, przygważdża męża tym

graniem coraz potężniejszym, coraz bardziej szalonym, aż w końcu on zaczyna milknąć, zacichać, poddawać się!

To scena - dla Wajdy, dla - Polańskiego, dla - Kena Russella!

U Bera - Róża gra także. Ale na krzyk zdesperowanego Adama odkłada, jakby z rezygnacją, skrzypce i... zasiada z rodziną do kolacji.

I dlatego ja osobiście wolę książkę od filmu.

Pierwodruk: „Kamena”, 1986, nr 25, s. 10.